Brylant. Część 2.



Salon w zamku Warwick, Wielka Brytania, XIX w., ilustracja książkowa, źródło: wikimedia commons

Wojciech Wilczyński *(Warszawa)*

VI

Karolina długo nie mogła zasnąć. Spostrzegła, że ich gość wpatrywał się w nią jak w obrazek. Tyle emocji jednego wieczoru, gdy zwykle tak jednostajnie upływa dzień za dniem. Cieszyła się na jutrzejszą trasę z nowo poznanym gościem. Miał kilka siwych włosów, co tylko dodawało mu uroku. Zastanawiała się, ile ma lat. Gdy spojrzała na zegar zrozumiała, że to jutro jest już dziś, bo wskazówka godzinowa minęła północ.

Nie inaczej rzecz się miała z Edwardem. Oszołomiony urodą i spontanicznością Karoliny, mimo zmęczenia nie mógł zasnąć, wciąż układał się na innym boku. Nie spodziewał, że spotka na swej drodze tak fascynującą istotę. Żyły z matką z dala od zgiełku miasta, zajęte swoimi winnicami. Karolina była jak młoda róża, na której płatkach osiadły krople porannej rosy. Edward postanowił, by jutro rozmawiać z nią jak najwięcej. Pragnął poznać świat jej emocji, a sam wykazać się erudycją i sprawnością. Jeśli nadarzy się ku temu okazja.

Podczas śniadania uzgodnił z obiema paniami,, że najwięcej zobaczy, gdy pojadą konno. Trzy wierzchowce ruszyły stępa, który wkrótce zamienił się w kłus. Patrzył zachwycony na Karolinę, która jadąc na koniu była w swoim żywiole. Widział, że kocha swojego rumaka. Traktowała go delikatnie, a gdy trzeba stanowczo. Jej jedność z własnym koniem była doskonała. Emma jechała przodem, a Edward z Karoliną nieco z tyłu. Dużo rozmawiali i wciąż żartowali. Pół dnia zajęło zwiedzenie całej

posiadłości. Mieli wiele czasu na dyskusje o historii Anglii, geografii a nawet ekonomii. Stwierdził, że guwernerzy wpoili Karolinie wiedzę, jakiej inne panny w jej wieku mogłyby pozazdrościć. Jest zdolna i ma dobrą pamięć, więc wszystko chwyta w mig – pomyślał. W drodze powrotnej Karolina pognała galopem i w poczuciu zwycięstwa z fantazją zatrzymała konia przed Crystal House. Ten dzień i następny, podczas którego Edward i Karolina we dwoje pojechali dwukółką do Dorking upłynęły jak sen. Córka Thomasa Cambridge'a podziwiała smukłą i mocną sylwetkę Edwarda oraz jego rozmarzone oczy, których wciąż nie mógł od niej oderwać.

W piątek wieczorem, podczas kolacji, Edward zaprosił obie Panie do Ashbourne, by życzeniu obu ojców stało się zadość. Wspólnie zastanawiali się nad datą pobytu. Chodziło o to, by znaleźć taki czas, który nie będzie kolidować z okresem żniw w Ashbourne i winobrania w Surrey. W końcu ustalono datę przyjazdu Pań Cambridge do Ashbourne na połowę sierpnia. Karolinę ogarnął smutek – mieli się spotkać dopiero za trzy miesiące. Od razu pomyślała, że będą to najdłuższe miesiące w jej życiu.

Edward również zdał sobie sprawę, że trzy miesiące to długi okres. Podczas wieczornego spaceru wziął Karolinę za rękę i by nie zostawiać wątpliwości, patrząc jej w oczy, powiedział:

– Karolino, nigdy nie spotkałem kogoś takiego jak ty.

Zawładnęłaś moimi myślami, jesteś piękna i wykształcona. Nie wiem jak przetrwam te trzy miesiące bez ciebie. Nic nie powiedziała, tylko wspięła się na palce i przylgnęła ustami do jego policzka. Wtedy mocno przygarnął ją ku sobie i pocałował, chcąc poznać smak jej ust i poczuć jędrność młodych piersi. Ta chwila musiała im wystarczyć na najbliższe trzy miesiące.

VII

Sobotnim rankiem, gdy stangret wkładał walizki do faetonu, Edward uścisnął ręce Emmy i Karoliny. Wzruszony, podziękował za wspaniałe dni, które spędził dzięki nim. Po chwili powóz odjechał, a kobiety widziały ciągnący się za nim obłok kurzu, aż do momentu, gdy znalazł się za wzgórzem.

Emma i Karolina wróciły z podjazdu do środka domu zupełnie oszołomione. W Emmie obudziły się wspomnienia lat spędzonych z młodym Thomasem, zaś Karolina nie wiedziała jak poradzi sobie z tęsknotą za człowiekiem, którego poznała zaledwie przed trzema dniami. Prawie w ogóle nie rozmawiały. Każda przebywała we własnym świecie.

Gdy Jeremy zobaczył buggy zajeżdżające przed dom, było kilka minut po trzeciej. Ustalili wcześniej, że dzisiaj Edward będzie nocował u niego, bo spotkanie z przyjaciółmi zaplanowano na szóstą. Zaraz odesłał go do łazienki i doradził, by uciął sobie

przynajmniej godzinną drzemkę.

Edward stosował się do rad Jeremyego, ale wydawał się jakiś nieobecny. W trakcie przyjęcia, na które tak cieszył się wcześniej, mówił i pił niewiele. Gospodarz nie mógł się nadziwić. W nocy, po spotkaniu, zapytał stangreta czy coś złego nie przytrafiło się Edwardowi. Ten jednak nie umiał niczego wyjaśnić. Przebywał w innych pomieszczeniach, gdzie karmiono i pojono go po królewsku, więc spał i odpoczywał, doglądał koni, ot i wszystko. Rano Edward oświadczył niespodziewanie Jeremy'emu, że musi skrócić pobyt w Londynie, bowiem doszły do niego wieści o kłopotach w majątku. Pożegnali się więc, a Jeremy był zmuszony odwołać umówione wcześniej spotkania. Zaczynał się domyślać, że przemiana Edwarda nastąpiła w Dorking, ale o co chodziło – nie był w stanie odgadnąć. Edward wyjechał z Londynu w niedzielę rano, po śniadaniu.

VIII

Przygotowania na przyjazd pań Cambridge zajęły dwa tygodnie. Odświeżono wszystkie pomieszczenia przeznaczone dla gości, główny salon i hol. Uzupełniono potłuczoną zastawę i sztućce, zakupiono kilka nowych dywanów, naprawiono uszkodzone drzwi i nieszczelne okna. Kilka mebli odświeżono, więc ślady zapachu politury unosiły się jeszcze w części pomieszczeń. Panie informowały w liście o planowanym przyjeździe szesnastego

sierpnia, po południu. Tego dnia Edward poprosił kamerdynera, by obserwował drogę dojazdową. Gdy powóz zbliżał się do pałacu stał na schodach by przywitać gości. Zauważył, że obie panie wyglądały doskonale i ciężka podróż nie zostawiła na nich żadnych widocznych śladów. Służba, zgodnie z wydanym poleceniem, stała w jednej linii przy wejściu, dzięki czemu mógł przedstawić ich wszystkich. Takiej ceremonii w Ashbourne nie było od lat. Zabrano bagaże i wszyscy udali się do salonu.

Karolina podziwiała piękny pałac, który był wiele razy większy od ich domu. Edward wzruszył ją wręczając na powitanie wielki kosz róż. Podziwiała jego stosunek do służby, serdeczny i pełen zaufania. Dało się zauważyć, że między wszystkimi mieszkańcami Asbourne panuje więź, niespotykana gdzie indziej. Następnego dnia podczas uroczystego obiadu nastąpiło kulminacyjne wydarzenie. Edward wręczył Karolinie, jedynej córce Thomasa Cambridge'a wspaniały brylant. Życzeniem Thomasa było, by przekazać brylant jego potomkom, wyjaśnił. Brylant, którego nikt wcześniej nie oglądał sprawił na zebranych ogromne wrażenie. Był wart majątek, z pewnością wiele, wiele tysięcy funtów.

Pobyt pań Cambridge w Ashbourne potrwał blisko trzy tygodnie. Edward nie chciał zgodzić się na ich wcześniejszy wyjazd, zapewniając każdego dnia inne atrakcje. Oboje z Karoliną spędzali ze sobą mnóstwo czasu, ale o wiele za mało, niżby pragnęli. Od momentu, gdy zobaczył ją po raz pierwszy, wiedział,

że zrobi wszystko, by została z nim na zawsze. Tygodnie spędzone razem w Ashbourne niczego nie zmieniły, był szczęśliwy i pewien swojego wyboru. W połowie trzeciego tygodnia potajemnie rozmawiał z Emmą Cambridge. Poinformował o tym, że jutro oświadczy się Karolinie podczas obiadu, na który zaprosił gości z sąsiednich posiadłości i przyjaciół z Londynu. I poprosił o jej zgodę na ten związek.

– Niech Karolina sama decyduje – powiedziała Emma. Jest już dorosła. Ja nie mogę stanąć na jej drodze do szczęścia.

Następnego dnia doszło do zaręczyn. Karolina Cambridge została narzeczoną Edwarda Cunninghama, a po kolejnych trzech miesiącach jego żoną. Zamieszkała w Ashbourne, razem z Edwardem. Żyli w szczęśliwym związku. Po czterech latach mieli syna i córeczkę.

IX

Któregoś zimowego wieczoru Edward postanowił przejrzeć stos papierów, który zalegał w jednym z biurek. Przeglądał je po kolei, większość niszcząc i od razu wyrzucając do kominka. Wśród nich dostrzegł pożółkły rachunek wraz z podpiętym certyfikatem. Przyjrzał mu się uważnie. Na rachunku firmy jubilerskiej z Brighton widniała data – dwunasty czerwca 1815 rok. Kupującym był Philip Cunningham z Ashbourne, zaś

przedmiotem zakupu – brylant. Cena opiewała na dwanaście tysięcy funtów. Obejrzał certyfikat kamienia i stwierdził, że jego opis i parametry dokładnie odpowiadają brylantowi, który przekazał Karolinie Cambridge, jako depozyt wręczony jego ojcu przez Thomasa Cambridge'a w 1804 roku. Edward długo przyglądał się pożółkłym dokumentom. Nie miał jakichkolwiek wątpliwości. Zapisał w notesie dane z certyfikatu, po czym rachunek i certyfikat wrzucił do ognia. Z wielkim wzruszeniem pomyślał o swoich rodzicach, a z oczu popłynęły mu łzy.



Cześć 1:

> Brylant. Część 1.

Wojciech Wilczyński



Urodzony w Warszawie. Absolwent SGH. Pisze i wydaje książki od 2012 roku. Pracował na różnych stanowiskach i w kilku zawodach. Był urzędnikiem państwowym, managerem w handlu zagranicznym, szefem budów za granicą, prezesem firm handlowych, biegłym sądowym, tłumaczem dokumentacji technicznych, z-cą dyrektora instytutu. Poza Polską mieszkał 12 lat, wśród innych kultur, ludzi z różnych środowisk społecznych i zawodowych. Posługuje się językami obcymi: hiszpańskim, rosyjskim, angielskim i niemieckim. Od 2018 roku na bazie WordPress prowadzi polsko-hiszpańską stronę autorską , z której można pobrać w wersji ebook pięć książek, opowiadania, prozę poetycką, także reportaże. Na YouTube uruchomił kanał z własnymi opowiadaniami : wojciech wilczynski nowele – liczba audiobooków przekroczyła czterdzieści. Współpracuje z licznymi organizacjami polonijnymi, m.in. Radiem Polonia Montreal Kanada. Wszystkie książki autora ukazały się w wersji

papierowej. Pojawiają się co roku na licytacjach WOŚP, dostępne są w ofercie antykwariatów internetowych i na allegro.

*

Opowiadanie „Brylant” na YouTube jako audiobook. Czyta Beata Niedziela – aktorka Bałtyckiego Teatru Dramatycznego w Koszalinie:

Brylant. Część 1.



Exton House, seria malowniczych widoków arystokratycznych, wiejskich siedzib Wielkiej Brytanii, XIX w., ilustracja książkowa, autor: F.O. Morris, źródlo: wikimedia commons

Wojciech Wilczyński *(Warszawa)*

I

Już było po wszystkim. Ustał stukot kół powozów na wybrukowanym podjeździe pałacu. Przed jego frontem ucichło rżenie koni i gwar rozmów. Zamknięto potężną bramę wjazdową, a zgrzyt zatrzaskiwanych zamków był ostatnim donośnym dźwiękiem, który rozległ się wśród zapadających ciemności. Gaszono po kolei światła, najpierw w alejach parku, następnie te

bliżej pałacu, na wjeździe i przy wejściu. W końcu nastała zupełna cisza. Kilkanaście breków i coupe stało w powozowni, albowiem część uczestników ceremonii i stypy udała się na nocleg do zawczasu przygotowanych sypialni. Hol i schody wiodące do pokojów na piętrze oświetlało chybocące światło niewielu świec, które pozostawiono na czas wietrzenia. Przez uchylone okna wydostawało się przegrzane powietrze, pomieszane z dymem cygar, świec, ciężkim aromatem kwiatów, perfum i zapachem naftaliny, który jeszcze przed chwilą rozsiewały futrzane płaszcze gości opuszczających westybul.

Siedział przy biurku w gabinecie. Nadszedł wreszcie ten dawno planowany moment, gdy mógł – przez nikogo nie niepokojony, zgodnie z ostatnią wolą ojca, wysunąć tajną szufladkę sekretarzyka i otworzyć ukrytą w nim skrytkę. Dowiedział się o niej podczas ostatniej rozmowy z nim, gdy wszystkim nakazał wyjść z sypialni i pozostali bez świadków. Wkrótce potem utracił z ojcem kontakt. Senior rodu leżał bez świadomości przez wiele dni. Po podniesieniu ozdobnego okucia znajdującego się na froncie, jedynego, które nieoczekiwanie nie było przytwierdzone na stałe, mechanizm blokujący sekretną, niewielką szufladkę uległ zwolnieniu. Jego oczom ukazała się zalakowana koperta z odciśniętą pieczęcią ojca. Widniał na niej wykaligrafowany jego ręką tekst: *Sir Edward Cunningham, mój syn, do rąk własnych* i na odwrocie podpis – *Philip Cunningham*. Edward wyjął kopertę. Zobaczył pod nią czerwone sukno, przysłaniające cztery

przegródki. W trzech leżały rodzinne pierścienie. Rubiny i szmaragdy otaczały arystokratyczny rodzinny herb. Słyszał o ich istnieniu, ale wiedza o miejscu ich ukrycia otoczona była tajemnicą. To, co zobaczył w czwartej przegródce, wprawiło go w zdumienie. Brylant ogromnej wielkości błysnął pięknymi szlifami w migoczącym świetle świec. Takich rozmiarów brylantu jeszcze nie widział, ani w bogatych kolekcjach, ani w najznamienitszych firmach jubilerskich. Usiadł w krześle z wysokim oparciem, stojącym obok sekretarzyka. Złamał pieczęć i otworzył kopertę. W środku był list napisany na jednej kartce. Edward rozprostował dwa zagięcia listu i położył go przed sobą.

> Drogi Synu Edwardzie !
>
> Gdy czytasz ten list nie ma mnie w świecie żyjących. Mam cichą nadzieję, że będzie mi dane, choćby z daleka, móc przyglądać się Wam wszystkim i cieszyć się Waszymi radościami. I wspierać Was, gdy zajdzie taka potrzeba.
>
> Pragnę Ci podziękować za miłość i troskę jakie mi okazałeś w ostatnich miesiącach. Kolejny raz przekonałem się, że jesteś moim godnym następcą i cenimy sobie te same nadrzędne wartości: Boga, honor i ojczyznę. Wierzę, że pozostaniesz im wierny. Teraz przed Tobą zaszczytne zadanie kontynuowania

naszych tradycji. Dbaj, proszę, o wszystkich bliskich i zarządzaj naszym majątkiem tak, by nikt nie cierpiał, nie czuł się pokrzywdzony. Mam tu na myśli nie tylko naszą rodzinę. Także oddaną nam służbę. Poświęcają nam swoje życie, są wierni i pracowici. Bądź tym samym dobrym chłopcem, z którym spędzałem chwile na zabawie i tym samym mężczyzną, którego zalety poznałem nie tylko podczas polowania, ale i w życiu codziennym. Życzę Ci, byś znalazł siły, które nie tylko pozwolą na utrzymanie obecnego status quo, ale dadzą naszemu wspaniałemu rodowi impuls do rozwoju. Wiem, że założysz szczęśliwą rodzinę.

W szufladce, którą znalazłeś, są herbowe pierścienie, mające blisko trzysta lat. Chroń je jak źrenicy oka. Są symbolem niezłomności naszego rodu i powinny być wsparciem duchowym dla jego następnych pokoleń.

W jednej z przegródek jest brylant. Nie należy do naszej rodziny. Historia jego w naszym domu nie jest długa. Sięga początku wieku, gdy toczyliśmy wojnę z Napoleonem. W 1804 roku, mój serdeczny Przyjaciel, wysoki rangą oficer królewskiej marynarki, przekazał mi go z prośbą o przechowanie. Okręt, na którym służył, wypłynął wraz z admirałem Horatio Nelsonem, by w bitwie morskiej przechylić ostatecznie szalę wojny na naszą korzyść. Wielkie zwycięstwo w 1805 roku uradowało króla Jerzego III i cały

naród.

Mój Przyjaciel nie zaznał tej radości. Zginął od strzału francuskiego marynarza pod Trafalgarem. Prosił, by na wypadek śmierci przekazać brylant jego potomkom. I ja złożyłem Mu przyrzeczenie. Mamy już 1820 rok, a ja, niestety, przez piętnaście lat nie spełniłem Jego prośby. Byłem zbyt zaabsorbowany naszymi sprawami, a ostatnio brakowało mi już sił. Na Ciebie ceduję ten obowiązek i wiem, że w moim imieniu, spełnisz obietnicę, którą złożyłem Przyjacielowi.

Jego imię brzmi : Thomas Cambridge, z Londynu, oficer marynarki w stopniu kapitana. Zginął pod Trafalgarem dnia 21 października 1805 roku. Dane znajdziesz w aktach Royal Navy.

Zostańcie wszyscy z Bogiem.
Twój zawsze kochający ojciec
Philip Cunningham
Ashbourne, 11 marca 1820.

Po dłuższej chwili Edward ostrożnie zamknął szufladkę, a list ojca umieścił w biurku. Poczuł się zmęczony. Uroczystość i mowy pożegnalne trwały długo. Część rodziny i przyjaciół pozostała na

nocleg. Musiał wydać dyspozycje na jutro.

II

Minęło kilka dni, podczas których wszystko powoli wracało do normy. Edward kontynuował zapisy w księgach finansowych, ordynował wykonanie prac. Poczuł się bardzo samotny. Uświadomił sobie, że choć przez ostatnie miesiące sam załatwiał większość spraw, fakt obecności ojca działał pozytywnie na jego psychikę. Matka odeszła przed trzema laty i teraz on – jedyny syn i spadkobierca całego majątku – został zupełnie sam.

Po tygodniu postanowił zająć się sprawa brylantu, by spełnić wolę ojca. Napisał list do Londynu, w którym przedstawił swój problem zaufanemu Przyjacielowi Jeremy'emu Scottowi. Pominął jednak informację o tym, co było przedmiotem, który ma do przekazania rodzinie Thomasa Cambridge. Jeremy nie zbagatelizował prośby Edwarda. Długo nie czekał na jego odpowiedź. Jeremy odpisał, że odwiedził siedzibę Royal Navy i posiada wydane przez archiwum dane adresowe rodziny Thomasa Cambridge. Nie był pewien, czy ma sam dalej zajmować się sprawą, czy też lepiej byłoby, co zresztą sugerował, żeby Edward przyjechał do Londynu. „Sam zdecydujesz jak postąpić" – pisał – „w zależności od sytuacji, bo jest to delikatna sprawa".

Tak dawno nie był w Londynie. Perspektywa spotkania z Jeremy’m i kilkoma innymi bliskimi znajomymi, nie wyłączając dalszej rodziny u której z pewnością znalazłby gościnę, wydała mu się kusząca. Doszedł do wniosku, że oderwanie się na jakiś czas od domu wyjdzie mu na dobre. Żyje samotnie i nie bywa w towarzystwie. Nie chciałby zostać starym kawalerem. A w bliskiej i dalszej okolicy, wśród ludzi jego stanu, nie widział żadnej młodej kobiety, która podobała by mu się do tego stopnia, by chciał poświęcać jej swój czas. A co dopiero związać się na stałe. Następnego dnia odpisał więc, że przybędzie do Londynu piątego maja, za trzy tygodnie. Nocować będzie u wuja, a u Jeremy’ego zjawi się następnego dnia około dziesiątej. Dodał, że chciałby spotkać wspólnych przyjaciół, pytając, czy może mu pomóc w tej kwestii.

Edward cieszył się na ten wyjazd. Nawet ojciec bywał w Londynie częściej, ostatni raz przed trzema laty, tuż przed nagłą śmiercią matki. Do diaska, mam już trzydzieści siedem lat, pomyślał, coś mi się od życia należy. Rodzice wciąż nalegali, by bywał wśród ludzi, a on zaszył się w lasach Ashbourne jak lis w norze. Bieżące sprawy przekazał ekonomowi. Wziął dwie walizki, pieniądze na pobyt i podróż, parasol, kilka drobiazgów, portrecik rodziców i notes, w którym były imiona, nazwiska i adresy znajomych oraz list – główny motyw wyjazdu. Jazda zajmie mi z tydzień, pomyślał i niewiele się pomylił.

III

W Londynie Edward zatrzymał się u wuja, który przyjął go bardzo serdecznie. Na czas pobytu zamieszkał w dwóch salonach i sypialni z łazienką. Wuj nie pytał go na jak długi czas zamierza pozostać w Londynie. Cieszył się, bo nareszcie miał okazję posłuchać opowieści o rodzinie i zmianach w majątku Ashbourne. I to z najlepszego źródła.

Nazajutrz około dziewiątej Edward ruszył pieszo na spotkanie z Jeremy'm. Jadąc dorożką nie mógłby przyjrzeć się uważnie zmianom, które dokonały się w stolicy. Zadziwiły go liczne nowe domy z witrynami sklepów, porządek na ulicach i przede wszystkim ogromny ruch. Szedł z Paddington przez Edgeware Rd i dalej Oxford Street, która zmieniała się w prawdziwą arterię. Do Greys Inn Lane nie miał daleko i przed dziesiątą był na miejscu. Jeremy czekał na niego z herbatą, ale na przywitanie podał mu szklankę szkockiej. Przy herbacie zrelacjonował mu własne dokonania, zaskakując Edwarda swoją dociekliwością. Okazało się, że rodzina Thomasa Cambridge przeniosła się do Dorking w hrabstwie Surrey.

– To wieś właściwie – powiedział Jeremy – z początkami zabudowy miejskiej. Znajduje się niedaleko, zaledwie dwadzieścia kilka mil na południe od Londynu. Moja służąca Elisabeth pochodzi stamtąd. Edward, nie masz wyjścia, musisz

tam jechać. Zresztą to piękne miejsce. Jak mi powiedziała Elisabeth, Dorking jest usytuowane między dwoma wzgórzami Box Hill i Leith Hill. A posiadłość, którą dość dawno temu kupiła rodzina Cambridge, jest położona w pobliżu miasteczka. Służąca przepytała swoje przyjaciółki, które lepiej znają tę okolicę i powiedziały, że to wielka winnica z niezbyt dużym domem. Nosi nazwę Crystal House.

Edward słuchał jego słów, nie mogąc się nadziwić w jaki sposób Jeremy zdołał zgromadzić tyle cennych informacji. A to wcale nie był koniec jego monologu, bo uzupełnił swoje wieści o istotne szczegóły.

– W posiadłości mieszka żona Thomasa – Emma Cambridge, z córką Karoliną. Mają nieliczną służbę.

Edward spojrzał przez okno na rosnące w sadzie jabłonie, obsypane białymi kwiatami. Wiosna wkroczyła tu na całego, nie to co u nas, na północy – pomyślał, a w Surrey , chodź to niedaleko, jest z pewnością jeszcze piękniej.

Jeremy z Edwardem spożyli wczesny lunch, podczas którego omówili londyńskie plany – z kim i gdzie mogliby się spotkać. Edward zaskoczył Jeremy’ego nagle podjętą decyzją, gdy oznajmił:

– Czekaj na mnie mój drogi, jutro wyjeżdżam do Dorking. Najpierw załatwię sprawę, a potem będę się udzielać towarzysko, tak będzie lepiej.

Jeremy chciał oponować, bo na jutro mieli umówione spotkanie, ale widząc jego determinację, ustąpił, i zaproponował:

– W takim razie mój stangret jutro rano zabierze cię powozem z Paddington. Dojedziecie na miejsce pod wieczór albo późnym popołudniem, jeśli nic się nie przydarzy. Nie mogę Ci towarzyszyć, mam pilne sprawy. Myślę, że dwa dni na miejscu w Dorking okażą się wystarczające. Dzisiaj mamy wtorek, więc kolację przygotuję na sobotę wieczór. Zrobię wszystko, by zjawili się: Eleonora, Sheridan i jeszcze ktoś, kto bardzo pragnie Cię zobaczyć, ale cicho sza. To ma być niespodzianka.

IV

Przed ósmą czterokołowy, lekki faeton zajechał po dom wuja. Edward pierwszy raz widział dwuosobowe, resorowane i zadaszone buggy. Zabrał tym razem niewielką walizeczkę i przede wszystkim list ojca. Przez całą drogę obmyślał co powie na powitanie i jak usprawiedliwi swoje najście, wszak była to niezapowiedziana wizyta. Nie żałował swojej decyzji, lepiej mieć tę sprawę za sobą – pomyślał – załatwię w tydzień coś, czego

ojciec nie zdołał uregulować przez piętnaście lat.

Pogoda im sprzyjała, słońce świeciło z lewej strony nie oślepiając stangreta, który powoził wyjątkowo sprawnie. Po drodze zaledwie cztery razy stanęli na krótkie postoje, by nakarmić i napoić konie. Posiłek zjedli w przydrożnej gospodzie. Odniósł wrażenie, że z każdą milą świat pięknieje, bo w Surrey zieleń i kwiaty przysłoniły niemal wszystko. Wielobarwne prostokąty rozpościerały się na łagodnych wzgórzach niczym czarodziejskie dywany. Lekkie buggy miękko płynęło po drogach spowitych intensywnymi zapachami kwiatów i łąk. Niechybnie by zasnął, gdyby nie wspaniałe, zmieniające się co chwila panoramy Surrey i widoki zapierające dech w piersiach.

W Dorking wskazano Edwardowi drogę do Crystal House. Do majątku rodziny Cambridge dotarli pół do czwartej. Posiadłość nie był ogrodzona. Aleja dojazdowa wyłożona drobnym brukiem prowadziła na podjazd przed niezbyt okazałe wejście do domu, wsparte na dwóch kolumnach. Powitała ich korpulentna niewiasta w fartuszku i białym czepku na głowie.

– Panowie do kogo ? – usłyszeli na powitanie.

– Do Pani Emmy Cambridge. Nazywam się Edward Cunningham, jestem z Ashbourne. Jadę z Londynu, w pilnej sprawie. Nie zdążyłem uprzedzić Pani Cambridge o moim przyjeździe.

– Pani nie ma. Pojechała z córką doglądać winnice, powinny wrócić na podwieczorek, o piątej. Pan pewnie zmęczony drogą, proszę do salonu, przygotuję herbatę. Zechce Pan wejść. Proszę spocząć na kanapie, zaraz podam herbatę.

Mężczyzna w zielonym fartuchu, prawdopodobnie ogrodnik, skierował faeton do stajni, znajdującej się poniżej domu.

– Żona przygotuje Panu herbatę, proszę za mną, – powiedział do stangreta.

Edward wszedł do domu i od razu zobaczył portret przystojnego, młodego mężczyzny w mundurze kapitana marynarki, wiszący na ścianie w obszernym holu, naprzeciwko wejścia. Któż inny miałby to być, jak nie szlachetny Thomas Cambridge – pomyślał, siadając z ulgą na kanapie. Miał za sobą wiele dni podróży i zmęczenie dawało o sobie znać.

V

Po herbacie z biskwitami nie oparł się drzemce, którą przerwały odgłosy kroków dobiegające z holu. Szybko wstał i ujrzał dwie kobiety zmierzające w jego kierunku. Lekko zaspany odchrząknął i przedstawił się:

– Nazywam się Edward Cunningham, jestem synem sir Philipa

Cunninghama z Ashbourne.

– Miło mi – odpowiedziała starsza z kobiet, jestem Emma Cambridge – i podała mu rękę, dodając: – to moja córka, Karolina. Wzrokiem i ruchem głowy wskazała młodą osobę stojącą obok. Edward jej również podał rękę.

– Pragnę Panią gorąco przeprosić za niezapowiedzianą wizytę. Byłem w Londynie i postanowiłem nie zwlekać z odwiedzinami w Dorking. Spełniam życzenie mojego zmarłego niedawno ojca.

– Nic nie szkodzi, że zjawił się Pan bez uprzedzenia. Poznałam kiedyś Pana ojca, był przyjacielem mojego męża Thomasa. Proszę przyjąć gorące wyrazy współczucia.

Po przywitaniu zrobiono przerwę, podczas której wskazano Edwardowi jego pokój. Zanim usiedli do podwieczorku zdążył umyć się i założyć wyjściowe ubranie. Panie przebrały się i niezapowiedziany przybysz mógł teraz podziwiać je w całej okazałości. Tocząc rozmowę z Emmą, patrzył jak urzeczony na Karolinę. Nigdy nie widział tak pięknego dziewczęcia, a właściwie kobiety. Kręcące się mocno włosy częściowo przysłaniały jej delikatną buzię. Mogła mieć nie więcej niż osiemnaście lat. Emanowała świeżością i wdziękiem, a uroku dodawały jej naturalne ruchy i gesty, świadczące o wrażliwości i umiejętności przekonywania. Edward zauroczony Karoliną

niemal zapomniał o celu swojej wizyty.

– Otóż – zaczął, gdy pili drugą filiżankę herbaty, mój ojciec uważał Pani męża, kapitana Thomasa Cambridge za swojego najlepszego przyjaciela. Pół roku przed bitwą pod Trafalgarem spotkali się i Pani mąż wręczył mu na przechowanie pewien przedmiot, który ojciec zobowiązał się przekazać potomkom kapitana w przypadku, gdyby ten poległ. Niestety, mąż Pani poniósł honorową śmierć w walce z Francuzami. Ich zginęło tysiące, a naszych marynarzy zaledwie kilkuset w wygranej przecież bitwie. Przeznaczenie sprawiło, że po tylu latach to mnie przypadło w udziale poinformować Panie o zobowiązaniu ojca i liście.

– Co to za tajemniczy przedmiot, szanowny panie, proszę nam powiedzieć.

– To wspaniały brylant, o którym dowiedziałem się z listu mojego ojca, proszę, oto ten list. Jest wprawdzie skierowany do mnie, ale nie ma w nim niczego, co powinno pozostać dla pań tajemnicą. Matka i córka z wielkim przejęciem czytały treść listu. Nie mogły opanować zdziwienia.

– Co za niesamowita historia! – powiedziała Emma.

Mina Karoliny świadczyła, że silnie przeżywa tę wiadomość. Gdy

ojciec udał się na wojnę miała zaledwie dwa lata i niczego z tego okresu nie pamiętała. Znała go jedynie z opowiadań, ze szkiców i portretów. A tu zjawia się przystojny Pan Edward z Ashbourne i po tylu latach przywozi wieści od ojca – pomyślała. Od ludzi, którzy go szanowali. Patrzyła z podziwem na Edwarda. Skoro jej ojciec i jego ojciec byli przyjaciółmi, to i on jest moim i mamy przyjacielem – pomyślała.

Podwieczorek przemienił się w kolację. Resztę wieczoru spędzili przy winie wspominając ojców i opowiadając ciekawe historie obu rodzin. Emma wspomniała, że przed pięcioma laty, na początku czerwca, rodzice Edwarda, będąc w drodze do Brighton, spędzili jedną noc w Crystal House. Była to niespodziewana wizyta. Pamięta uroczy, wzruszający wieczór, i wspomnienia pana Philipa o Thomasie. Edward był zupełnie zaskoczony.

Wiem, że byli w Brighton – powiedział, ale o wizycie w Crystal House nigdy nie wspomnieli. Zamilkł na chwilę, bo uświadomił sobie, że ojciec miał wtedy możliwość przekazania brylantu. Jedynym wytłumaczeniem mogła być nieprzewidziana wcześniej zmiana trasy, przez co wizyta nastąpiła przypadkiem pomyślał. Przez chwilę ta informacja nie dawała mu spokoju. Na następny dzień zaplanowano wycieczkę po posiadłości, której perłą były winnice, założone przez dziadka Jakuba, ojca Thomasa.

Część 2:

> Brylant. Część 2.

Wojciech Wilczyński



Urodzony w Warszawie. Absolwent SGH. Pisze i wydaje książki od 2012 roku. Pracował na różnych stanowiskach i w kilku zawodach. Był urzędnikiem państwowym, managerem w handlu zagranicznym, szefem budów za granicą, prezesem firm

handlowych, biegłym sądowym, tłumaczem dokumentacji technicznych, z-cą dyrektora instytutu. Poza Polską mieszkał 12 lat, wśród innych kultur, ludzi z różnych środowisk społecznych i zawodowych. Posługuje się językami obcymi: hiszpańskim, rosyjskim, angielskim i niemieckim. Od 2018 roku na bazie WordPress prowadzi polsko-hiszpańską stronę autorską z której można pobrać w wersji ebook pięć książek, opowiadania, prozę poetycką, a także reportaże. Na YouTube uruchomił kanał z własnymi opowiadaniami: wojciech wilczynski nowele – liczba audiobooków przekroczyła czterdzieści. Współpracuje z licznymi organizacjami polonijnymi, m.in. Radiem Polonia Montreal Kanada. Wszystkie książki autora ukazały się w wersji papierowej. Pojawiają się co roku na licytacjach WOŚP, dostępne są w ofercie antykwariatów internetowych i na allegro.

Drzwi za sobą



Ryszard Sawicki, Lwów, heliograwiura

Ryszard Sawicki *(Kalifornia/Namysłów)*

Zamknąłem za sobą drzwi, zszedłem po kamiennych schodach na ścieżkę prowadzącą do ogrodowej furtki. Nacisnąłem klamkę przy furtce, znalazłem się poza ogrodem. Wzdłuż muru klasztornego doszedłem do rogu ulicy, przeszedłem na drugą stronę, na przystanek tramwajowy przy parku. Tramwaj zawiózł mnie na dworzec kolejowy, z którego odjechałem do stolicy. Stamtąd odleciałem samolotem na wschód. Dopiero po kilkunastu latach dotarłem z powrotem do domu. Wyjeżdżając nie sądziłem, że kiedykolwiek wrócę.

Wychodząc z domu zabrałem ze sobą klucz do drzwi wejściowych. Tym samym kluczem, po latach, otworzyłem znowu drzwi. Przedtem nacisnąłem tę samą klamkę w ogrodowej furtce. Potem dotykałem w domu tych samych klamek u drzwi z przekonaniem, że z przedmiotami trzeba się witać podobnie jak z ludźmi.

Klamki są chyba najczęściej dotykanymi przedmiotami w każdym domu. Jeśli są to stare klamki, każda jest trochę inna, inaczej zużyta, inaczej poddaje się naciskowi dłoni. Z każdą trzeba się zapoznać by nie trzaskać drzwiami. Nowe klamki nie mają własnego charakteru, są niewyrobione. Tylko stare klamki potrafią działać tak, jak się nauczyły przez długie obcowanie z mieszkańcami domu. Nacisk ludzkich dłoni odwzajemniają tylko takie klamki, w których sumują się wszystkie dotknięcia wszystkich ludzkich dłoni jakie na nich spoczęły. Człowiek powinien zdawać sobie sprawę z tych właściwości klamek, znać ich ukryty charakter. Powinien rozpoznawać swoje klamki jak rozpoznaje swój dom. Jak rozpoznaje swój klucz do drzwi wejściowych i do innych drzwi w domu. Powinien wiedzieć jak witać się z klamkami, nie tylko po wieloletniej nieobecności.

Dotknięcie klamek po wielu latach jest wzruszające. Zwłaszcza wtedy, gdy na takie dotknięcie już się przestało liczyć. Kiedy wróciłem po długim czasie do domu, przywitałem się z domownikami. Od kilku lat naciskam te same klamki co dawniej i

przypominam sobie jak mi brakowało ich dotknięcia kiedy w innym kraju, na innym kontynencie wynajmowałem mieszkania i próbowałem oswajać się z ich wnętrzami i wyposażeniem, z oknami i drzwiami. I klamkami. Ale przychodziło mi to z trudem, bo klamki, których dotykałem w Ameryce były okrągłe, nie takie jak w Europie. Nie naciskało się ich, lecz należało je przekręcać. Zresztą, czy takie obracane gałki można nazywać klamkami? Nazywałem je w obcym języku, nigdy nie musiałem tłumaczyć tych nazw. I nie próbowałem nawet. Tak było lepiej, sądziłem.

Mój klucz, mój zamek. Mój dom. Moje klamki. Naciskam je tak samo, choć przecież postarzały się i mogłyby wymagać innego nacisku. Ich sprężyny są jednak tak samo sprężyste jak kiedyś, z wyjątkiem klamki w furtce ogrodowej, którą zniszczyli obcy ludzie. Z jednej strony jest w takim samym położeniu jak kiedyś, z drugiej pochyliła się w dół, trzeba ją ujmować inaczej. Ta klamka uległa niszczycielskiej sile obcych, szkoda mi jej. Inne jednak nie poddały się, są dalej sobą. Dobrze ich dotykać. Dotknięcie klamki, którą zna się od lat sprawia miłe wrażenie. Trzeba być wrażliwym na dotyk takich przedmiotów jak klucze i klamki. Wiedzą o tym zwłaszcza ci, których nie było w domu przez długie lata. Tacy ludzie jak ja i moi rodzice. Ja mogłem przekonać się o tym wracając do domu rodzinnego po kilkunastu latach, mój ojciec przekonał się o tym wracając po sześćdziesięciu trzech latach.

Kilka dni temu był znowu w swoim rodzinnym mieście, które opuścił pierwszego września tysiąc dziewięćset trzydziestego dziewiątego roku. Mógł wejść do swoich mieszkań, gdzie się wychował. Jednego i drugiego, w tym samym mieście. Po kilku dniach wrócić jednak musiał do domu, w którym zamieszkał po latach wędrówki, w tysiąc dziewięćset czterdziestym ósmym roku. Dotknął tylko przelotnie drzwi i ścian, porozglądał się po inaczej urządzonych pokojach i musiał wyjść. Nie był u siebie. Przedmiotem, który może dotykać codziennie tu gdzie teraz mieszka, a który przypomina mu wnętrze starego mieszkania, jest mały alabastrowy słoń. Zabrał go wtedy, wychodząc z domu. Zabrał starszej siostrze, nie mówiąc jej o tym. Miała ich więcej, cały szereg słoni. Każdy był innego wymiaru, ustawione były według wielkości na półce domowej biblioteki. Słoń, a raczej mały słonik przetrwał wędrówkę po całej ogarniętej wojną Europie. Przetrwał obozy jenieckie na Węgrzech i we Francji. Przetrwał desant wojskowy w Normandii. Stracił wprawdzie kły i trąbę, ale przetrwał. Jedyny z całej kolekcji. Jedyny przedmiot z wielu innych przedmiotów, które wypełniały mieszkanie przy ulicy Nabielaka we Lwowie i dom przy końcu ulicy Łyczakowskiej.

Wydaje mi się, że ten mały ułomek alabastru jest kluczem do ojca przeszłości. Do pokojów jego młodości. Do świata, który przestał istnieć. Jest jak mój klucz, który woziłem po świecie będąc niemal całkowicie przekonanym, że nigdy go nie włożę do

właściwego zamka. Nigdy nie otworzę nim żadnych drzwi.

Ojciec mógł wrócić do swojego domu już kilkanaście lat wcześniej, ale nie chciał tego zrobić. Wyjechał dopiero wtedy, gdy starszy syn jego siostry, której słonik towarzyszył mu w podróżach, namówił go na wspólny wyjazd. Na spotkanie z Papieżem-Podróżnikiem, o którego wizycie pisała lokalna ukraińska gazeta, że „serca wielu mieszkańców państwa zostały zawojowane przez dziwnego staruszka, z którego zewnętrznej słabości tak łatwo z boku się śmiać, a którego jasność myśli i wola nie może nie porażać". Ojciec dopiero na myśl o tym spotkaniu dał się namówić na podróż swojego życia. W wieku osiemdziesięciu pięciu lat, pogodzony z myślą, że już nigdy nie stanie w progu swojego domu, podjął decyzję w ciągu kilku minut. Teraz jest już z powrotem w domu oddalonym o kilkanaście godzin jazdy autobusem. Przegląda zdjęcia, cieszy się wspomnieniami. Najbardziej był zaskoczony, jak mi powiedział, serdecznym przyjęciem z jakim witani byli tacy jak on przybysze. A brat, który jeździł razem z nim, dodał, że rozmawiał ze staruszką, która przez tydzień wędrowała do Lwowa na spotkanie z Papieżem niosąc na plecach worek z cebulą, którą zamieniała po drodze na chleb lub mleko.

„Środa Literacka", Londyn, 19 XII 2001 r.

*

Zobacz też:

> Lwów na heliograwiurach Ryszarda T. Sawickiego

Złota reneta



Akwarela, fot. azazelok z Pixabay

Ryszard Sawicki *(Namysłów)*

Pokój, w którym spędziłem ponad dwadzieścia lat życia był na pierwszym piętrze willi z ogrodem i miał balkon z oszklonymi drzwiami. Obok drzwi były jeszcze dwa okna. Za oknem po lewej stronie drzwi rosła złota reneta. Widać ją lepiej przez okno małego pokoju, który zajmowała ciotka Stefa, starsza siostra matki, która wychowała mnie i mego młodszego brata. Większy pokój zajmuje teraz ojciec, a ja zajmuję mniejszy pokój ciotki kiedy tylko jestem gościem u rodziców we Wrocławiu. W pokoju jest szafa na odzież, ta sama, w której trzymała wszystkie swoje rzeczy ciotka, a także półki z książkami, stolik i wąskie łóżko. Na ścianach pomieściłem dużo obrazów, chociaż powierzchnia ścian jest ograniczona.

Za oknem po prawej stronie widać od zewnątrz ścianę domu oddzielającą obydwa pokoje, naprzeciw dęby w parku po drugiej stronie ulicy, a po lewej złotą renetę. Zewnętrzną powierzchnię ściany domu tworzą kwadraty jasnego tynku, między którymi są czarne, smołowane belki. Nad nią widoczny jest fragment dachu. Gdy bywam u rodziców, patrzę na renetę i na drzewa w parku, mam ten sam widok, który miała ciotka Stefa przez ponad trzydzieści lat. Po wojnie, w czasie której ona, jak i najstarsza siostra matki, Jana, straciły mężów, ciotka Stefa zamieszkała u nas i zajmowała się mną i bratem, robiła zakupy stojąc w długich kolejkach, które formowały się codziennie przed sklepami w

latach pięćdziesiątych, gotowała i sprzątała w czasie gdy matka była w pracy, a także podczas jej paroletniej rekonwalescencji po chorobie i operacji jakie przeszła po urodzeniu brata. Wieczorami rodzice bywali zmęczeni i nie mieli ochoty na zabawy z dziećmi. Ojciec przychodził późno, bo pracował zwykle dłużej by dorobić do marnej pensji. Matka często nie czuła się najlepiej. Tylko w niedzielę ciotka mogła od nas odpocząć, bo wyjeżdżaliśmy zwykle do dziadków, rodziców ojca, którzy mieszkali w Trzebnicy, małym mieście położonym dwadzieścia kilka kilometrów na północ od Wrocławia. Kiedy wracaliśmy do domu, mówiliśmy jej dobranoc, czasem przez zamknięte już drzwi pokoju, czasem wchodziliśmy i opowiadali o tym co się zdarzyło po drodze i na miejscu.

Dojeżdżaliśmy do Trzebnicy wąskotorową lub normalną koleją, a w późniejszych latach autobusami. Najbardziej lubiłem wąskotorową kolejkę, bo jechała wolno, zatrzymywała się często na przystankach, na których wsiadali ludzie ubrani i mówiący nieco inaczej niż ludzie w mieście, a przez okna można było oglądać krajobraz, zrazu nizinny, podmiejski, po kilkudziesięciu minutach pagórkowaty, urozmaicony. W dni pogodne widać było na horyzoncie sylwetkę samotnej Ślęży, a nawet zaczynające się za nią pasmo wyższych gór. Zawsze próbowałem zgadnąć jak daleko tym razem będzie można sięgnąć wzrokiem, ale rzadko udawało mi się, dzięki czemu widok zaskakiwał czymś nowym. Niekiedy były to burzowe chmury nadchodzące od zachodu,

niekiedy piękny zachód słońca, a w jesieni lub na wiosnę warstwa ciężkiej mgły, która była zwykle szara, lecz w szczególnych okolicznościach zabarwiała się czerwienią zachodu lub jaśniała pod bezchmurnym niebem.

Opowiadaliśmy ciotce o ładnym zachodzie lub o gościach, których nigdy nie brakowało u dziadków. Na wiosnę mieliśmy dla niej nowiny o kwitnących podmiejskich sadach, a jesienią o kolorowych lasach bukowych. Dolina Trzebnicy położona była za Wzgórzami Trzebnickimi, więc miała nieco inny klimat. Drzewa owocowe kwitły tam trochę później lub wcześniej niż w ogrodach willowych dzielnic Wrocławia. Wtedy ciotka mówiła nam o ogrodzie przy domu jej i matki rodziców, Heleny i Stefana Czekanowskich w Buczaczu. O tym, jak bawiły się z czterema innymi siostrami, w tamtym ogrodzie, w tamtych pięknych, przedwojennych latach. Jak wchodziły na drzewa, żeby zrywać czereśnie, wiśnie, jabłka i gruszki. O tym, jak ciotka Wiesia spadła z gałęzi, ale na szczęście nic jej się złego nie stało. O tym jak wspaniałe były zbiory owoców ze wszystkich drzew z ogrodu, który położony był na stoku doliny Strypy. Legendę ich dzieciństwa powtarzała każda z ciotek na swój sposób, gdy do nas przyjeżdżały. Opowieści ciotki Stefy powtarzała też matka, ale to Ciotka Stefa miała najwięcej do powiedzenia, bo mogła porównać pracę w buczackim i wrocławskim ogrodzie. Po wojnie i utracie domu, ciotka Stefa starała się odtworzyć namiastkę ich utraconego raju. Pielęgnowała róże i dalie, siała marchewkę i

sałatę. W tych wiosennych zasiewach pomagaliśmy jej czasem z bratem. Jednak tylko renety sprzed okna jej pokoju uznawała za porównywalne do jabłek z Buczacza. Podobnie jak i matce, brak jej było krzewów jaśminu i bzu otaczających dom, bo cóż to znaczyły dwa gatunki bzu i tylko jeden krzew jaśminu.

Gdy obrodziły trzy jabłonie we wrocławskim ogrodzie, ciotka próbowała robić wino z jabłek. Było jednak zwykle za kwaśne albo zamieniało się w ocet. Z drzew buczackich jabłka były znacznie lepsze, komentowała ciotka. Jesienią jadała renety. Obierała je powoli, starannie, a potem starała się by na ogryzku nie zostało zbyt wiele miąższu. Najbardziej cieszyło ją kwitnące na wiosnę drzewo. Wtedy wołała mnie i brata i pokazywała jak wschodzące słońce prześwietla tonącą w białych kwiatach koronę drzewa. Patrzcie, to prawie jak w Buczaczu, mówiła i milkła, pogrążając się we wspomnieniach. Cóż mogliśmy wiedzieć o tamtym nieistniejącym ogrodzie. Niewiele, ale powinniśmy byli zapamiętać, że był taki ogród, w którym sześć dziewcząt z koleżankami mogło zniknąć z oczu rodziców i tylko głośne nawoływania pozwalały przekonać się, że żadna nie wdrapała się za wysoko, ani nie robi czegoś równie niebezpiecznego. Opowieści ciotki Stefy wydawały się nam najprawdziwsze, bo to jej pomagaliśmy przy pracy w ogrodzie we Wrocławiu. Zamyśloną nad obrazami z wiosennego ogrodu pamiętam ciotkę najlepiej.

Jabłoń za moim oknem miała w tym roku szczególnie wiele jabłek. Ojciec starannie poukładał je na strychu i w piwnicy. Nawet zwycięsko walczył z myszami, które się dowiedziały o zbiorach. Matka twierdzi jednak, że i w tym roku renety nie były najlepsze. Lato było zbyt suche, jesień zbyt deszczowa. Kiedy spadały z drzewa i kiedy zrywałem je przy pomocy płóciennego worka zawieszonego na długim kiju, co wieczora zjadałem kilka złotych renet. Zaraz po zerwaniu z drzewa były najlepsze, twarde i soczyste. Ale i teraz jem je z przyjemnością. Oczywiście nie mogę porównać tych renet do tamtych, z buczackiego ogrodu. Mogę tylko sądzić, że są porównywalne. I mogę powtarzać sobie w myśli zapewnienia ciotek i matki. A także powtarzać za Rilkem fragment dziewiątej elegii duinejskiej. Te o drzewie i oknie. I o tym, że może jesteśmy tu właśnie po to, by wymawiać takie proste słowa jak dom, most, fontanna, brama, dzban… drzewo owocowe, okno. Albo, najwyżej: kolumna, wieża. Ale przede wszystkim: dom, drzewo, okno. Powinniśmy powtarzać takie słowa choćby samym sobie.

Ryszard Sawicki, urodzony w Kamiennej Górze, wrocławianin, w latach 1977-1994 mieszkał i pracował w Stanach Zjednoczonych. Artysta, pisarz, tłumacz. Ukończył Uniwersytet Wrocławski, bibliotekoznawstwo. **Techniki:** malarstwo sztalugowe, pastele, akwarele, grafika, heliograwiura. **Wystawy:**

indywidualne i grupowe w Stanach Zjednoczonych, Europie i Azji. **Prace w zbiorach:** Uniwersytet Toruński (Archiwum Emigracji), Muzeum Azji i Pacyfiku w Warszawie, Carmel Art Association (Carmel, CA). **Publikacje:** eseje, opowiadania, artykuły i wiersze w takich pismach jak: *le Temps Pluriel* (Paryż), *Wiadomości* (Londyn), *Twórczość* (Warszawa), *Zeszyty Literackie* (Paryż-Warszawa), *Format* (Wrocław), *Środa Literacka* (Londyn). **Nagrody:** złoty i srebrny medal za portrety (IPA, Washington, D.C.: 1986, 1987). **Członkostwo:** Carmel Art Association (1993-), International Platform Association (1986-1994). **Wymieniony w:** Polish American Who's Who, Directory of American Portrait Artists.

Dziadek Władysław



Fot. S. Hermann i F. Richter z Pixabay

Romuald Mieczkowski *(Wilno)*

Po tym, jak zostawił tu dorobek życia, ociągał się z przyjazdem do stron swojego dzieciństwa, młodości, wieku dojrzałego, pełnego załamanych nagle planów. Człowiek nieposkromionej natury, a jednocześnie napiętnowany chłodnym praktycyzmem, wyciągał wnioski z kolców życia, nie poddając się słabościom losu.

Młode lata upłynęły w buntowniczym przekonaniu, że jak najszybciej trzeba zmienić świat. Gdy tego nie dało się zrobić, postanowił otoczyć go swoją wyrozumiałością i miłością. Tym tylko można tłumaczyć decyzję studiów w seminarium duchownym.

Nie trwało to długo. Po dwóch latach wezwano jego ojca, by poradzić:

– Niech będzie dobrym człowiekiem, skoro są wątpliwości co do jego kapłańskiego powołania…

Podobno przyczyną była namiętna gra w karty, brak pokory w zgłębieniu tajników wiary i nieobojętność wobec płci pięknej. Legenda lokalna głosi, że kroplę cierpliwości dopełniła drzemka na cmentarzu, gdy inni klerykowie uczestniczyli w nabożeństwie żałobnym…

Parę lat wytężonej pracy na piaszczystej, nieurodzajnej ziemi wileńskiej pozwoliło wyciągnąć wnioski – rola dla szczupłego młodzieńca, z manierami, oczytanego i pracującego w rękawiczkach – nie była celem ostatecznym. Zaczął robić interesy. Po latach do niego należał młyn, dwa wyszynki za Zielonym Mostem, zbudował w Fabianiszkach najokazalszy dom. Tych interesów było tak dużo i cechowała je tak duża różnorodność, że nikt nie mógł się połapać, czym aktualnie Władysław Mieczkowski się zajmuje.

Wojnę udało się jakoś przetrwać, gorzej było po przyjściu Sowietów. Kilka lat spędził w łagrze w Donbasie. Choć postury był wątłej, to wytrwał – racjonalnie traktując byt łagiernika – nie palił, potrafił zachować niezbędną w takich sytuacjach

równowagę wewnętrzną.

Z Donbasu do Wilna nie wrócił. Bo i nie miał po co. Dom został skonfiskowany, gdyż był "za duży" jak na czasy budowania socjalizmu, o innych majętnościach nie było mowy. Osiadł w Szczecinie, ze zmiennym szczęściem zmieniając zajęcia, ale i tu panował nad sobą i swymi interesami.

Do Wilna przyjechał jeden raz, na początku lat siedemdziesiątych. Już dawno nie żył jego brat, a nasz dziadek. Z ojcem wspominali dawne czasy, ludzi, których nie było. Chodziliśmy na spacery po mieście, odwiedzaliśmy razem krewnych i znajomych. Dziwił się, że tak dużo u nas ludzie teraz piją wódki.

Dostawszy pięć rubli od rodziców na wydatki, moj brat – Władysław-junior – wtedy uczeń, zaprosił dziadka Władysława (nigdy nie nazywaliśmy go stryjem) na lody. Do jadłodajni niedaleko Poczty, przy dzisiejszej Alei Giedymina. Teraz mieści się tam wykwintna restauracja, wtedy była to "trochę porządniejsza" stołówka – z kawą i deserami. Chyba zjedliby tutaj swe lody, gdyby dziadek raptownie nie zbladł i nie wyciągnął chłopca na ulicę.

– A teraz ja ciebie zapraszam, tylko w inne miejsce! – powiedział pośpiesznie.

Kiedy siedzieli w pobliskiej “Literackiej”, urażony brat zapytał, dlaczego dziadek nie skorzystał z jego zaproszenia.

– Kochany, lody możemy zjeść wszędzie, wcale nie jestem taki kapryśny. Nie mogłem znieść dźwięku aluminiowych naczyń, które tam były. I opowiedział, że to mu przypomniało Donbas i szajby*, z których wygłodniali więźniowie resztkami człowieczeństwa wygrzebywali resztki bałandy**.

---

*szajba** (ros. z żargonu więziennego) – metalowa (aluminiowa) miska.

*bałanda*** (ros. z żargonu więziennego) – więzienna polewka.

Zobacz też:

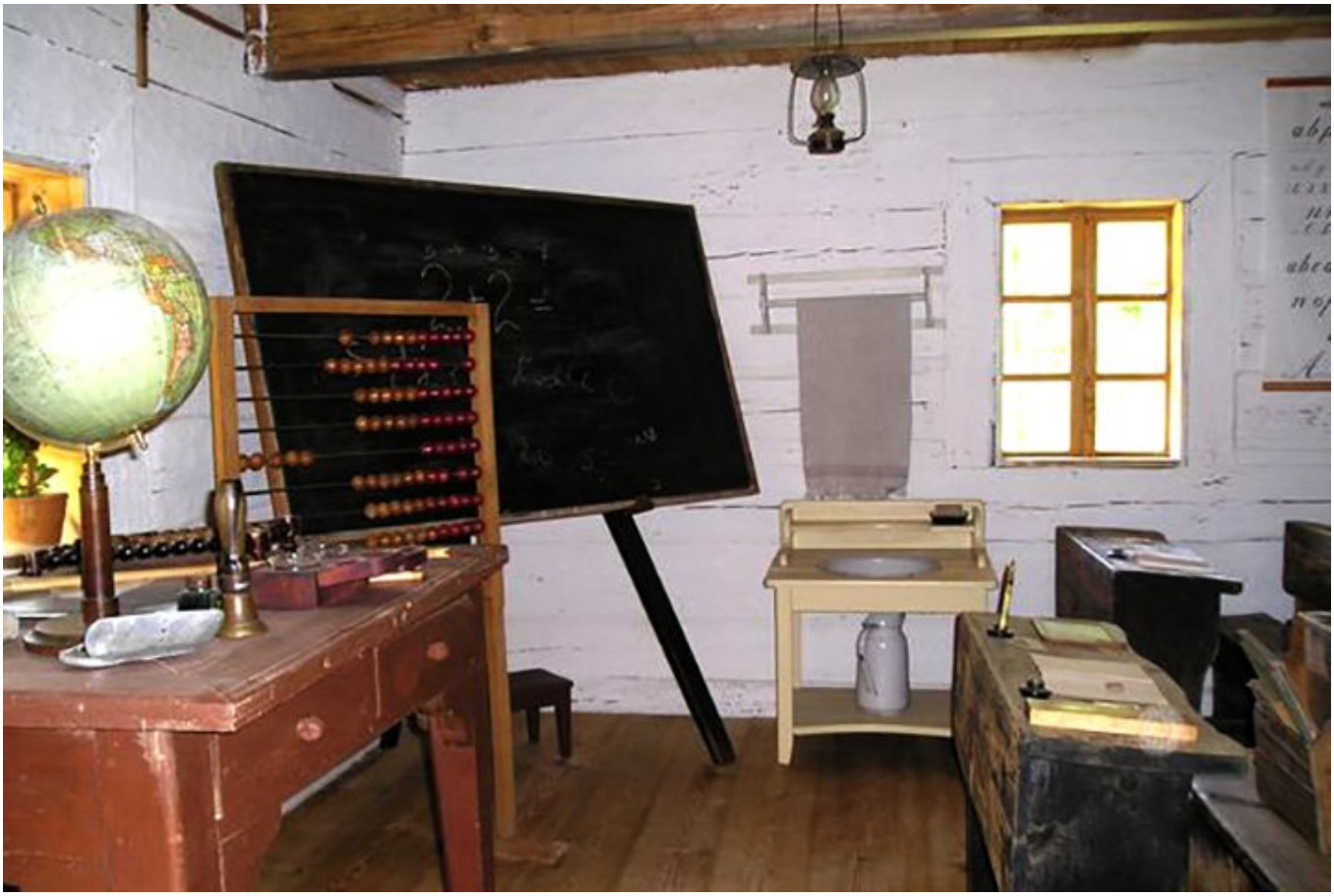
> Staruszka z Zamkowej 42

> Objazdowe kino

Klamki mojego domu

Szkoła po sąsiedzku

Szkoła po sąsiedzku



Tak wyglądały kiedyś klasy w szkołach, z tablicą, liczydłem, globusem i ławkami z otworami na kałamarze. Na zdjęciu zrekonstruowana klasa w Szkole Podstawowej w Pakosławiu, fot. ilza.com.pl

Romuald Mieczkowski *(Wilno)*

Pierwszą moją nauczycielką była pani Leparska. Dojeżdżała z miasta. Starsza, korpulentna i bardzo zadbana pani. Zapamiętałem jej broszkę pokaźnych rozmiarów, pierścionki i bransolety na rękach. I manicure na jej paznokciach, które widziałem po raz pierwszy w życiu. Nosiła duży męski zegarek – chyba złoty. To ona uczyła pierwszych tabliczek mnożenia. Czytać to już umiałem przed pójściem do szkoły. Niedaleko naszego domu, na żwirowni, popisywałem się przed starszymi kolegami, czytając im po raz kolejny pouczającą historię o Janku,

co psom szył buty. Po dwóch latach mojej nauki pani Leparska przestała dojeżdżać. Zastąpił ją w 1959 roku Leonas Kurklenas, który wraz z żoną, też nauczycielką , przyjechał do Fabianiszek z głębi Litwy, by nas uczyć polskiego.

Przez cały czas istnienia szkoły była tu pani Teresa Fiodorowicz. Elegancka i bardzo piękna podobno w młodości kobieta. Mówiono, że jej narzeczony zginął w czasie wojny. Ale szczegółów nikt nie znał, tyle tylko, że był w Polskim Wojsku, w partyzantce. W tamtych czasach nie mówiono w AK. Pani Teresa długo nie mogła przeżyć śmierci ukochanego i nigdy nie wyszła za mąż, prowadziła samotny i zamknięty tryb życia. Miała w Wilnie brata, ale zażyłości między nimi nie było. Potem – szeptano – związała się z jakąś sektą. Na starość unikała ludzi: szybko przemykała od przystanku autobusowego do szkoły, gdzie na poddaszu – na salkach – od lat zamieszkiwała. Tak samo, niemal biegiem, udawała się do studni po wodę, czuła zażenowanie, kiedy ją się spotykało, nie pozwalała pomóc sobie i zanieść wiadra.

Wiele czasu poświęcała czytaniu. To ona była u nas jedyną prenumeratorką w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych takich czasopism, jak „Film” czy „Ekran”. Oczywiście, miała też „Przyjaciółkę”, a potem „Panoramę” – ale te pisma były bardziej znane, niektóre mieliśmy w domu.

Podkradaliśmy się czasem do jej czasopism. Po przeczytaniu pani Teresa składała je w stodole, która jako szkolna, nie dostała się kołchozowi. Choć była zamknięta na kłódkę, to przenikaliśmy z bratem do jej wnętrza przez liczne otwory. Czas spędzony w stodole obfitował w różne przygody. Penetrując jej zakamarki odkrywaliśmy wiele tajemnic, znajdowaliśmy tu czasem ciekawe rzeczy. Raz nawet trochę amunicji pod strzechą, którą wypróbowaliśmy w ognisku... Z czasopism pani Teresy wyrywaliśmy kartki ze słynnymi sportowcami i aktorami. Tu, w dziurawej stodole, z żurnali przebijał wielki świat.

Pani Teresa miała jeszcze jedną pasję, która graniczyła z obsesją. Lubiła czystość na szkolnym podwórku. Nie mogło tam być papierka, najmniejszej gałązeczki czy opadłego liścia, uporczywie walczyła z chwastami. Tego wymagała i od nas, co uważaliśmy za przesadę.

A ogródek był co się zowie! Upiększały go „szczepione" bzy i jaśminy, dzika róża, rosły najprzeróżniejsze kwiatki, w tym rzadkie w naszych stronach. Dróżki przy klombach były wysypane żółtym piaskiem, znaczone kamykami i tłuczoną cegłą, pobielonymi wapnem kamykami. Musieli też uczniowie pracować w szkolnym ogródku. Każdy miał swoje indywidualne grządki, o czym świadczyła stosowna tabliczka z nazwiskiem. Prócz warzyw najpospolitszych, takich jak marchew czy buraki, rosły tam bób, fasola i groch. W szczególny zachwyt przyprawiała uczniów

„czerwona kapusta” i arbuzy.

Jesienią ulubionym miejscem, gdzie się gromadzili uczniowie, była grusza, z drobnymi, ale bardzo smacznymi gruszkami. Jednakże zdobyć je było bardzo trudno – nauczyciele pozwalali zbierać owoce tylko z ziemi. Było tego niewiele – chyba, że rzuciło się w gruszę jakimś kijem, albo dobrze nią potrząsnęło. Trzeba było uważać, bo gdy zobaczył to nauczyciel, jedyny mężczyzna w szkole, to już on wtedy potrząsał uczniem.

Grusza stanowiła fragment przerzedzonego sadu. Rosły tam różne jabłonie od antonówek po rajskie jabłuszka, a także wiśnie, porzeczki, maliny i agrest. Sad, jak i budynek szkolny, przed wojną należał do brata mojego dziadka – Władysława. Jako najbardziej okazały w okolicy, sielsowiet* przeznaczył budynek właśnie na szkołę początkową. Nawet nie był to wariant najgorszy w latach, gdy oczodołami okien straszyły puste domy, zaś wywózki na Sybir, a potem w ramach tzw. repatriacji do Polski, nikogo nie dziwiły. Przez pewien czas ojciec miał pracę przy szkole – ni to stróża, ni to stolarza, taki sobie zawchoz**.

Nasz dom stał obok, więc nauki pobierałem po sąsiedzku.

– Już dzwonek, po przerwie śniadanie skończysz! – wołała matka. Wyruszałem więc przez podwórko prosto do klasy. Na górze właśnie mieszkała pani Teresa, obok niej mieszkanie

przydzielono przybyłym Kurklenasom. Kiedy szkołę likwidowano, pani Teresa była w wieku emerytalnym. Jeszcze rzadziej pokazywała się „na ludziach” i jeszcze bardziej zamykała się w sobie. Dziwaczka – z politowaniem pełnym szacunku mówiono o niej. Potem chorowała, przebywała w szpitalu, aż nie wróciła na swe nigdy nieremontowane i przeciekające poddasze.

Dziadek Władysław tylko jeden raz widział swój letniskowy dom (większość czasu spędzał w mieście), oddany pod szkołę, bo tylko raz przyjechał odwiedzić Wilno. Nie ciągnęło go jakoś. Był to człowiek zasługujący oddzielnej książki. Humorystyczno-sensancyjno-dramatycznej. Niedoszły ksiądz (zaliczył dwa lata seminarium), wytrawny esteta, a nade wszystko specjalista od interesów, miał w Wilnie knajpki, niedaleko Gazowni i na Mostowej, młyn i coś tam jeszcze. Potrafił wesoło spędzać czas, lubił w przednim towarzystwie pograć w karty. Ale wiedział z kim i kiedy skończyć – więc nie przegrywał i nieźle mu się w sumie wiodło.

Potem posiadłości zabrali Sowieci, a ich właściciel trafił na Syberię. Ale i tam sobie poradził. Z Syberii udał się wprost do Polski i osiadł w Szczecinie, w pięknej dzielnicy Pogodno. To od niego dostałem swój pierwszy w życiu wyzow*** i ze Szczecina rozpocząłem pierwszą i pełną przygód podróż dookoła Polski. Dziś dziwię się, jak mogłem objechać pół kraju – głównie autostopem – bez pieniędzy. Wtedy, bardziej niż dziś,

wiedziałem, czym może nie być dla mnie Polska.

Dziadek Władysław, szczupły, wręcz drobny mężczyzna, mimo chorowitego w młodości zdrowia, w Szczecinie dożył sędziwego wieku – zmarł mając 102 lata. Miał nadzwyczajną pamięć, nigdy go nie opuszczało wyrafinowane poczucie humoru. Sensacją w latach sześćdziesiątych było zamążpójście za Amerykanina jednej z jego córek, a mojej ciotki, i odpłynięcie własnym jachtem do nowego życia za ocean.

Po latach na zdziczałym skrawku ziemi, gdzie stał dom stryjecznego dziadka, gdzie pozostały też i resztki naszego sadu – jacyś Amerykanie w ostatnich przed rozbiórką domach pytali o Mieczkowskich. Ale zastraszony lud i o przytępionej pierwszymi ciosami przez dziki kapitalizm pamięci – nie mógł doradzić, jak nas odnaleźć. Do głowy mu nie przyszło, iż wystarczyło poszukujących odesłać do byle jakiej polskiej gazety czy organizacji. Ale na taki pomysł młodsze pokolenie byłych sąsiadów nie wpadło. Może dlatego, że to byli goście właśnie z Ameryki.

Przywołując moją pierwszą szkołę, nie mogę nie wspomnieć pewnej staruszki, która wprawdzie nauczycielką nie była, ale bardzo chciała nauczyć mnie francuskiego. Pewnie dlatego mówiła do mnie wyłącznie w tym języku. Otóż w naszym domu znalazła przytułek pani Buterlinowa, z dworu w Zameczku.

Była to zasuszona staruszka, którą wypędzono ze znacjonalizowanego majątku. Miała długi zakręcony kij. Bałem się go najwięcej, ponieważ kiedy byłem niesforny, usiłowała złapać mnie zaokrąglonym końcem owego kija. Pani Buterlinowa miewała zaniki pamięci, wyruszała w nagłe wędrówki i potem trzeba było ją szukać. W czasie jednej z nich zginęła w wypadku samochodowym.

Jej życie i śmierć przywodzi na myśl obecność w naszym domostwie poczciwego psa Wilka. Był to owczarek, którego zostawili cofający się Niemcy. Jakież niezwykle mądre było to stare jednookie psisko! Doskonale rozumiał nas – kiedy, na przykład, rodzina wyruszała do krewnych – biegł pierwszy i naszczekiwał. Był to znak, że niebawem pojawią się Mieczkowscy.

Wilk również odegrał znaczną rolę w moim wychowaniu – pilnował mnie, żebym nie oddalał się za daleko. Miał swoje lata, słabo widział, nie dosłyszał. Pewnego razu został również przejechany przez samochód. Potem mieliśmy wiele psów, ale żaden nie dorównał inteligencją i wiernością Wilkowi.

---

* *sielsowiet* (ros.) – rada wiejska

** *zawchoz* (ros. skr.) –odpowiedzialny ds. gospodarczych

*** *wyzow* (ros.) – popularna nazwa oficjalnego zaproszenia, na podstawie którego wydawano zezwolenie na odwiedzenie

---

Schody Hiszpańskie. Opowiadanie sensybilistyczne.



Schody Hiszpańskie, Rzym, fot, pinterest

Kazimierz Głaz *(Toronto)*

Moja dramatyczna przygoda była dawno temu, kiedy nie było zakazu siedzenia na Schodach Hiszpańskich w Rzymie. Tłumy ludzi. To tam miało miejsce tajemnicze i trudne spotkanie z moim nieznanym synem. Dwudziestoparoletni chłopak podszedł do mnie i usiadł obok.

– *May I talk to you?* – zapytał po angielsku.

– *Yes, but what about?* – odpowiedziałem.

– *You are probably my father* (jesteś prawdopodobnie moim ojcem) – powiedział łamiącym się głosem.

Podejrzewałem w tym typowe rzymskie naciąganie, o których się wiele słyszało. Miałem w pamięci historię znajomego lekarza z Toronto, który będąc w Rzymie miał dziwną przygodę. Na głównej ulicy podszedł do niego starszy, dobrze ubrany człowiek, ukląkł przed nim na oba kolana i zaczął potrząsać jego rękami recytując głośno coś po włosku, czego ani mój znajomy, ani jego żona, nie rozumieli. Zszokowani stali zdziwieni czekając na zakończenie. Modlący się uścisnął mu raz jeszcze ręce, jakby na pożegnanie, wsiadł na podjeżdżający skuter i odjechał. Wyglądało to jak modlitwa, ale okazało się po chwili, że złoty zegarek lekarza, warty wówczas pewnie ze 2o tysięcy dolarów zniknął z jego ręki. Takie i temu podobne opowieści krążyły wśród turystów.

Toteż spokojnie, ale stanowczo, kazałem mojemu młodemu rozmówcy odejść. Pamiętam dobrze jak wyglądał. Był wysoki, dobrze zbudowanu, ale jakby nieco nieśmiały. Ociągał się. Zszedł na dół do jakiejś kobiety. Kiedy wstała popatrzyli oboje na mnie. Zabierali jakieś torby z zakupami z Via Fratina, znanej ulicy mody. Oddalony jakieś 30 stopni i oddzielony tłumem ludzi nie rozpoznałem jej. Po dobrej chwili, kiedy zaczęli schodzić zacząłem sobie przypominać moją ostatnią dziewczynę we Wrocławiu. Zbiegłem na dół. Szukalem. Zniknęli w tłumie turystów.

Była studentką medycyny. Na moje obawy mówiła, że ona zna się na tym dobrze, ale któregoś dnia powiedziała, że jest w ciąży. Zakazałem przerywania . Prosiłem, Mieliśmy ustalić nasze

stanowisko później. Jednak ja wyjechałem niespodziewanie do Paryża i kiedy wróciłem po roku, ona wyjechała z Polski. Nie mieliśmy wspólnych znajomych i tak urwał się kontakt, bardzo osobisty.

Po latach władze rzymskie zakazały siedzenia na schodach, żeby zabezpieczyć marmury. Dlatego te schody są od tamtego czasu tak mocno związane z moją pamięcią.

Toronto, listopad 2019 r.